

Wojciech Stanisławski: Wycięty szlak

Spora część „innej Polski” bierze teraz odwet, radośnie i z rozmachem. I stoją za tym bardzo różne tradycje i rodowody, czasami finezyjny marranizm, a czasami prosty konformizm, z którego wreszcie można się wyzwolić – pisze Wojciech Stanisławski w nowym felietonie z cyklu „Barwy kampanii”.

Sposób opowiedzenia przez Akirę Kurosawę historii o napadzie na samuraja i jego żonę był tak nowatorski, że usiłują go powtórzyć setki reżyserów, a „efekt Rashōmona” wykładany jest na akademiach filmowych. Ten sam chwyt odkryła na własną rękę, nieco wcześniej, literatura, w której co i raz drugoplanowy bohater powszechnie znanej historii opowiada ją własnymi słowami, z własnej, najczęściej przekornej i antyheroicznej perspektywy: bez tego rodzaju efektu nie byłoby ani „Małego wielkiego człowieka” Thomasa Bergera, ani „Kwartetu Aleksandryjskiego” Durrella, ani pół tuzina opowiadań Borgesa.

Usiłuję w podobny sposób patrzeć na Polskę po pierwszych dniach marca, po premierze książki Ekke Overbeeka i emisji reportażu Marcina Gutowskiego. Nie odnoszę się przy tym ani do kwestii luk czy uchybień obu opowieści – debata w tej kwestii dopiero się rozpoczyna, choć duże wrażenie zrobiły na mnie wypowiedzi Tomasza Krzyżaka z „Rzeczypospolitej” i prof. Pawła Skibińskiego, podejmujących rzeczowo kwestię krytyki źródeł, z których korzystali holenderski i polski dziennikarz. Mniej też obchodzą zwyczajowe wycieczki dotyczące

bieżącej polityki i prof. Magdalena Smoczyńska, którą nieco zawodzi klasyczny umiar, gdy na łamach Gazety.pl pieni się w kwestii „idiotycznego kultu świętej kremówki” i wyzywa nauczycieli od „głupich do bólu”.

*Jak Polska podwórek i parafii
będzie opowiadała sobie samą
siebie po tym, jak usiłowano
przeciąć rdzeń jej opowieści?*

Mniejsza o te piany,
choć wzbierają one
wysoko, i dziwię się,
że ryku „obalić
pomniki,
przemianować ulice”
nie słyszą

komentatorzy, pełni niesmaku wobec „upolitycznienia sporu” i „nerwowych ruchów decydentów”. W istocie, osoby, które toną lub usiłują uciec przed pożarem, którym dano pięć minut na spakowanie się lub muszą nagle odprowadzić kogoś bliskiego do karetki, często wykonują mnóstwo nerwowych, chybionych, niepotrzebnych, a nieraz niemal komicznych ruchów. Świadkowie takiej miotaniny zazwyczaj nie wybuchają śmiechem wiedząc, że w ten sposób manifestuje się przerażenie, zagubienie, trwoga; jak się okazuje, ta elementarna intuicja nie jest powszechna.

Rozmach tych uniesień pokazuje, że nie chodzi o wyjaśnienie przypadków z przeszłości, zadośćuczynienie ofiarom i stworzenie mechanizmów naprawczych. I nie chodzi rzecz jasna o ulice, wszystkie tabliczki z nazwami ulic po jakimś czasie śniedzieją, pasy na Piłsudskiego i w Alei Solidarności przekracza się nieuważnie i obojętnie, i nawet „Aleja Armii Ludowej”, pamiątka niskiej przekory,

coraz mniej złości. Tabliczki, trochę przypadkowe, trochę świadectwo mód, są jak paski farby malowane na bukach i świerkach, wyznaczające szlak w górach.

Takim szlakiem jest (była) ludowa, popularna opowieść o losach Polski i Polaków w XX wieku. Opowieść w oczywisty sposób uproszczona, a na obrzeżach – bajkowa, pomijająca sprawy zbyt skomplikowane czy kłopotliwe, bo takie są prawa rządzące opowieścią czy narracją ludową, anonimową i skrajnie uproszczoną. „Najpierw nas ochrzcili, potem były zabory i druga wojna światowa, ale prawdziwy cyrk zaczął się dopiero później” opowiadał przed laty bohater rysunku Mleczki.

O tym prawdziwym cyrku, gdzie nieraz było śmiesznie, ale często też strasznie, istniały podobne opowieści: w Polsce i na świecie, na podwórkach i w wiejskich domach. Żadnej finezji, żadnych niuansowań, których ludowa narracja po prostu nie zna: nic, tylko krwawa miazga sekwoi. „Weszli rusczy, strzelali się z tymi z lasu, manikiurzyści rwali paznokcie, a Hela z czworaków skończyła szkołę”. Obrazek grubo ciosany jak świętek: kto powie, że nieprawdziwy? I jego niezbywalną częścią był on. Student-kleryk-biskup-papież: to z tej opowieści przecież, nie z uczonych numerów „Znaku”, trafił wprost na bramę Stoczni.

Zdjęcie go z tej bramy i zdjęcie ulicznych tabliczek z jego imieniem, wygumkowanie go ze zdjęcia z młodym robotnikiem w kasku i z całej tej opowieści, ścięcie drzew z biało-żółto-białym maziajem, jakby ktoś postanowił zatrzeć szlak z Rabki Zaryte na Luboń, jest oczywiście możliwe. Możliwa jest też inna opowieść: snuje ją dr hab. Wojciech Śmieja, pisząc o „zbiorowych histeriach podczas pielgrzymek, które

*Tabliczki, trochę
przypadkowe, trochę
świadcstwo mód, są jak paski
farby malowane na bukach i
świerkach, wyznaczające szlak
w górach*

zamieniały Polskę w
jakąś katolicką
wersję Korei
Północnej”, snuje ją
Agata Passent, ze
znanstwem
rekonstruując w
swoim felietonie
doświadczenia
polskiego katolika w

wieku średnim („po tych wszystkich latach święcenia kiełbas,
zmawiania zdrowasiek nawet w czasie jazdy rowerem do biura, no, po
tym wszystkim okazuje się, że... ta cała firma to jedna wielka Sodom
i Gomora”), zaś prof. Inga Iwasiów dodaje, z chłodem, od którego hel by
skamieniał, że „warto opowiadać społeczną historię tej Polski, która
potencjalnie by nie płakała [po papieżu]”.

Tej ostatniej opowieści i ja byłbym ciekaw, bo spora część tej Polski
bierze teraz odwet, radośnie i z rozmachem. Bo przecież nie jest to, jak
gotowi są twierdzić bardzo prostoduszni felietoniści prawicy, po prostu
„trzecie pokolenie UB” (choć nie wątpię, że różne humerzątka i
ciastoniówny, jeśli zachowały czułą pamięć najlepszego z dziadków i
funkcjonariuszy, czują dziś potężną satysfakcję). Nie, za wpisami takimi
jak powyższe stoją bardzo różne tradycje i rodowody, czasami finezyjny
marranizm, a czasami prosty konformizm, z którego wreszcie można
się wyzwolić, a czasem po prostu wierność sobie. Jest tam miejsce dla
uczniów Schaffa i uczennic Kotarbińskiego, synów Stanisława
Hartmana (współpracownika KOR, współzałożyciela TKN) i córek
Jerzego Turowicza. I naprawdę chciałbym przeczytać społeczną historię
tej Polski, nawet, jeśli pełna byłaby jakobińskiego nietaktu.

Ale chwilowo bardziej ciekaw jestem, jak wyglądać będzie wspinaczka na Luboń po wycięciu świerków z biało-żółto-białym paskiem. Jak Polska podwórek i parafii będzie opowiadała sobie samą siebie po tym, jak usiłowano przeciąć rdzeń jej opowieści. I czy ta inna Polska będzie w stanie zaproponować inną narrację, czy zadowoli ją zniszczenie tej, którą można było usłyszeć dotąd. I komu, prócz ciastoniówien, podobać się może to splątanie szlaków, to pomieszanie języków.

Wojciech Stanisławski

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
